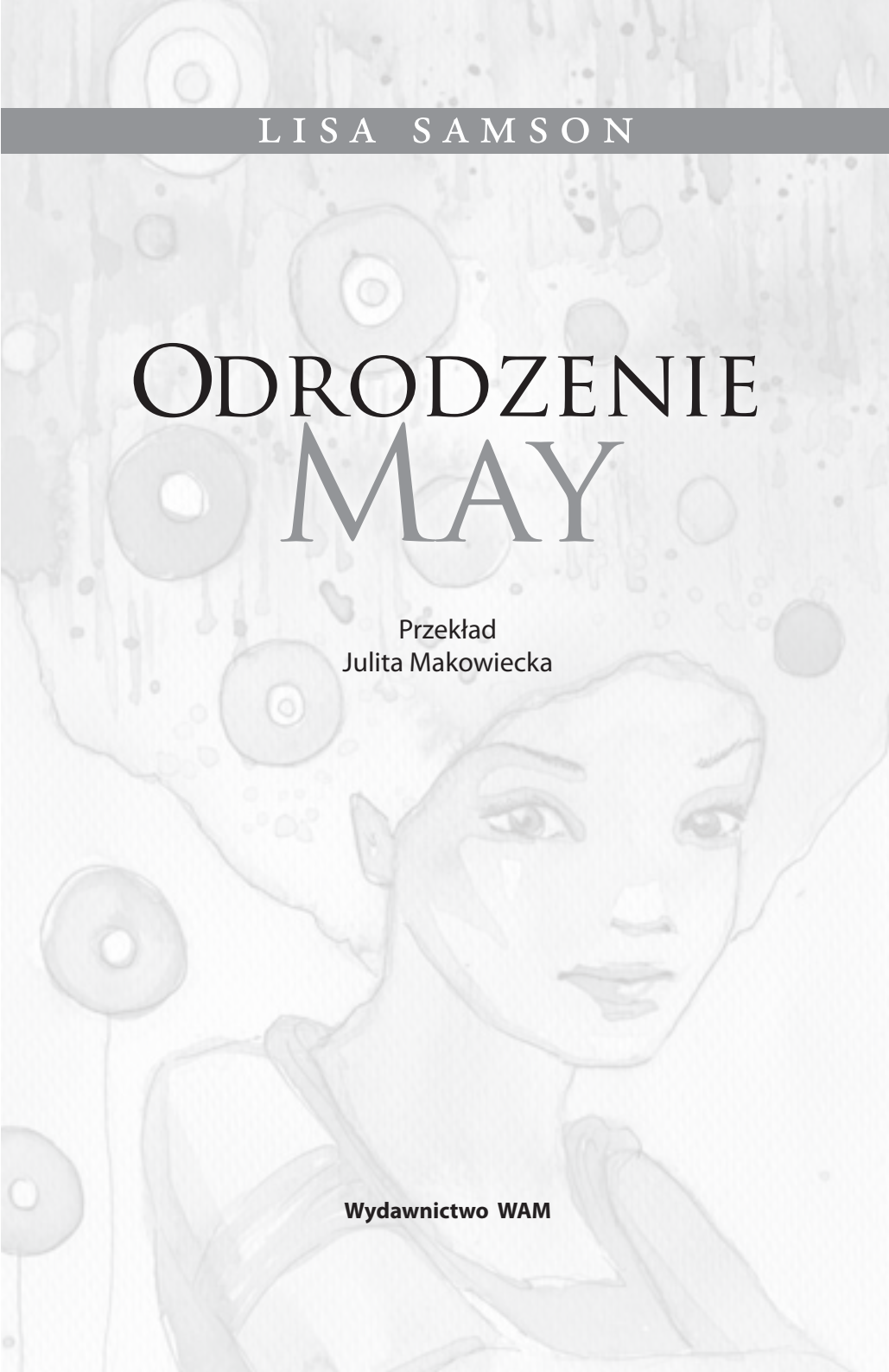


LISA SAMSON

ODRODZENIE MAY

Przekład
Julita Makowiecka

Wydawnictwo WAM



Tytuł oryginału
RESURRECTION IN MAY

© 2010 by Lisa Samson
All Rights Reserved
This Licensed Work published under license

© Wydawnictwo WAM, 2012

Redakcja
Zofia Palowska

Korekta
Dariusz Godoś
Danuta Barańska

Projekt okładki
ChapterOne DESIGN PARTNERS

Ilustracja na okładce
© bruniewska – Fotolia.com

Logo serii
Sebastian Stachowski

ISBN 978-83-7767-048-4

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Spis treści

• CZĘŚĆ PIERWSZA •

Tylko życie poświęcone innym
warte jest przeżycia

ALBERT EINSTEIN

7

• CZĘŚĆ DRUGA •

To bardzo pokręcone błogosławieństwo
– powrócić z martwych.

KURT VONNEGUT

181

Wiosna 1993

Sam nie wiedział, jak dotarł do kresu życia ani dlaczego w niektóre poranki jeździł w kierunku Natural Bridge¹ i odnajdywał się na szczycie tej wielkiej skały. Poniżej rozciągał się rozległy widok, a korony drzew z tej odległości przypominały wielkie brokuły.

Claudius, jak na farmera przystało, wszystko, cokolwiek widział, kojarzył z warzywami. Ulubiony wzór sukienek matki – *paisley*², z młodymi kabaczkami, gdy widział latający talerz, od razu przychodził mu do głowy patison, a naszyjnik z koralami, w zależności od ich rozmiaru, przywodził mu na myśl groszek lub pomidorki koktajlowe.

Zawsze mieszkał w okolicy Natural Bridge w Kentucky i nie to, żeby jego własne pola czy lasy mu nie wystarczały, ale ten widok zapierał mu dech w piersiach. Claudiusowi sprawiały tu przyjemność rześkie podmuchy wiatru, okrągłe kamienie leżące wzdłuż wijącej się ścieżki z piaskowca, nawet turyści, którzy lubili siadać na brzegu mostu z nogami zwieszonymi w dół, prosto w niekończącą się przestrzeń.

¹ Naturalna formacja skalna w kształcie łuku, z poziomą drogą na szczycie, znajduje się w Parku Stanowym w Kentucky, w pobliżu Lexington nad rzeką Red River (wszystkie przypisy w tej książce pochodzą od tłumaczki).

² Wzór paisley – wzór etniczny inspirowany sztuką indyjską (chusty pashmina), jego nazwa pochodzi od szkockiego miasteczka Paisley, słynącego z przemysłu włókienniczego.

Claudius żył w zgodzie z naturą. Siedząc na moście, pytał Boga na swój bezpośredni sposób, czy teraz, gdy pozostało mu jeszcze kilka lat życia, Bóg, który miał go zawsze w swej opiece, mógłby do niego przemówić. Inni ludzie, których spotykał w kościele, słuchali bezpośrednio Ducha Świętego, ale Claudius widział oblicze Boga jedynie poprzez otaczający go świat. Być może, gdyby dane mu było usłyszeć Boga bezpośrednio, uspokoiłoby to jego skołataną duszę.

Zaraz jednak pożałował tych słów. Nie mógł sobie przypomnieć ani jednego dnia w ciągu siedemdziesięciu lat życia, w którym nie byłby wdzięczny Bogu, i nie zamierzał zmieniać tego teraz. Zapewnił więc dobrego Jezusa, że pogodzi się z losem, jaki ześle mu Bóg. Ni mniej, ni więcej.

Powoli wracał do domu drogą numer jedenaście³, schorwane kolana bolały go od wspinaczki (oczywiście, przecież nie był już tak sprawny jak za młodu). Nie miał nic przeciwko temu, by swym białym galaxy zjeżdżać na pobocze, by młodzi, dynamiczni mężczyźni i kobiety, spieszący się do swego aktywnego życia, mogli go swobodnie wyprzedzić. Uderzał rytmicznie w kierownicę w takt folkowej muzyki, jaką nadają w niektórych stacjach radiowych. Przez całe lata dbał o stare auto matki, Forda Galaxy, którym zaczął jeździć, gdy ona sama już nie była w stanie. Regularnie wymieniał olej, filtry i zmieniał opony. Gdyby tylko jakaś kobieta go zechciała, byłby dobrym, pracowitym mężem. Teraz już było na to za późno.

Przypomniało mu się, że wczoraj nie pozbiarał jajek w kurniku, jednocześnie uświadomił sobie, że stał się starszym, którego ludzie jedynie pozdrawiają z daleka lub

³ W oryginale Route 11. Mowa o autostradzie numer jedenaście biegnącej na wschodzie Stanów Zjednoczonych z północy na południe, liczącej w sumie 2647 km.

zamieniają z nim kilka słów na stacji benzynowej, ale którego od śmierci matki prawie nikt nie odwiedził.

No, nie licząc pastora, ale pastorzy byli za to wynagradzani. Zresztą ostatnim razem Claudius zadzwonił do pastora i prosił, by ten wpadł do niego omówić sprawę przejęcia ziemi na rzecz Kościoła po jego śmierci. Było tego nieco ponad czterdzieści akrów oraz dom i budynki gospodarcze. Nie musiał czekać nawet dwóch godzin, a pastor już się pojawił!

Claudius jeszcze raz zjechał z drogi, ustępując mężczyźnie w szarym taurusie. Widać było, że samochód niejedno już przeszedł i został zabezpieczony grubą warstwą farby antykorozyjnej. Claudius odwrócił głowę, by pomachać kierowcy i skinąć mu głową.

– Ach! – krzyknął, gdy zdał sobie sprawę, że tuż przed nim ktoś czołga się samym skrajem drogi. Nacisnął na hamulec, zaparł się plecami o siedzenie i... Boże święty na niebiosach! Sięgnął do kieszeni i wytarł czoło bawełnianą, szarą bandaną⁴.

Młoda kobieta czołgała się po żwirze, głowa zwisała jej bezwładnie jak u zdychającego psa, balansując z boku na bok. Claudius zorientował się, że nie czuła nawet, iż ostry żwir wbija jej się w dłonie i kolana, bo gdy uklęknął koło niej i położył swoją orzechową dłoń na czubku jej głowy, nawet nie bardzo zdała sobie sprawę z jego obecności.

W końcu, gdy zawołał do niej: „Hej, młoda panno!”, podniosła głowę, mrużąc oczy przed blaskiem bladego, porannego słońca, a na jej powiekach błysnęła metaliczny cień, zanim słońce oświetliło ją całą.

– Mmm...? – Przymknęła oczy, zachwiała się i zaraz wyprostowała. Gdy znowu próbowała otworzyć oczy, jedno-

⁴ Bandana, bandanna, bandhana – słowo pochodzi z języka hindi i oznacza wiązanie; bawełniana wzorzysta chustka zawiązywana na głowie lub szyi.

czesnie potarła swe długie, jasne, proste, ubrudzone wymiocinami włosy.

– Ma pan jasnobrązową skórę – powiedziała. – A pana oczy są takie niebieskie. – Uśmiechnęła się i znów zachwiała, trochę za bardzo.

Claudius wyciągnął rękę i pomógł jej wrócić do poprzedniej pozycji, co przywiodło mu na myśl wańkę-wstańkę na półkolistej podstawie, jaką kiedyś bawiły się dzieci. Najpierw wahnienie w jedną stronę, potem prosto i znów popchnięcie w drugą stronę, jakby za karę. Jak to w życiu.

Cóż, matka nie przygotowała go na nic takiego, ale przypomniał sobie, o co się modlił na moście. Przecież nie o to prosił. Ta dziewczyna była ubrana w sukienkę w kolorach arbuza, której spódniczka wyglądała jak owoc, przecięty zanim pozwolono mu dorosnąć do prawidłowej długości. Może powinien sobie sprawić telewizor, młodzi ludzie nie wprawialiby go wtedy w stan takiego osłupienia.

Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że dziewczęta, które widział w Lexington, gdzie raz w tygodniu zawoził warzywa ze swej farmy na targ, tak właśnie się ubierały. Tylko nie przywykł do ich widoku w poniedziałkowy poranek na drodze numer jedenaście. W tym był cały problem – w kontekście. Oczywiście nie chciał widzieć siebie w roli starego wszytkowiedzącego głupca. I nie żeby nie wiedział, co to kac. To się pamięta, nawet gdy upłynie już dużo wody.

Dziewczyna nachyliła się i zwymiotowała w pobliską kępę trawy. Claudius nie przejmował się zbytnio funkcjami organizmu. Ani językiem, jakim się teraz posługiwano. Znowu wyjął swą bandanę z tylnej kieszeni szarych, roboczych spodni i czekał, aż dziewczyna skończy. Przydałaby jej się cola. Zimna butelka z colą potrafiła czynić cuda, a sklep z napojami był tuż za rogiem. Nazywali go sklepikiem pod-

ręcznym, ale był wygodny tylko wtedy, gdy chciało się kupić karton jasnego piwa.

Gdy się wyprostowała, wytarł jej twarz.

– Musiałaś mieć ciężki wieczór.

Kiwnęła głową i coś cicho mruknęła. Nawet w tych okolicznościach, na tym żwirze i po ciężkiej nocy, której skutki były opłakane, współczuł jej. Taka młoda, śliczna i prosząca. Na poboczu drogi, w twarzowej, imprezowej sukience. Na pewno nie była stąd. Biedactwo. Nie mogła mieć więcej jak dwadzieścia lat.

– Przepraszam – powiedziała.

– Pozwól, że się tobą zajmę – pomógł jej stanąć na nogi, czując jednocześnie sztywność w kolanach. – Chodź, zawiozę cię na moją farmę i prześpisz się. Potem przekonamy się, kim jesteś.

Powoli, pozwalając mu się prowadzić, podała mu małą torebkę, którą cały czas miała przewieszoną przez ramię. Jej opalone nogi i ramiona przypominały Claudiusowi wierzbę płaczącą, jaką ojciec posadził dla matki, gdy Claudius miał zaledwie osiemnaście lat. Nie opierała się, zważywszy na to, w jakim była stanie.

(Pewnie będzie musiała zmagać się z życiem jeszcze bardziej niż do tej pory. Ale czy to nie dotyczy nas wszystkich?).

To, że Claudius żył, nie obchodziło nikogo poza jego rodzicami. I zwierzętami. I ziemią. Im oczywiście zależało.

Pomógł dziewczynie usiąść na miejscu pasażera. Zapinając pasy, poczuł jej gorzki oddech. Na jej szczęście był człowiekiem, który nie skrzywdziłby nawet muchy, i w sumie był zadowolony, że to on ją znalazł, zanim zrobił to ktoś inny, ktoś o nieczystych intencjach. Położył torebkę obok niej i strącił żwir z jej kolan i dłoni. Chętnie przemyciłby słówko lub dwa, żeby na przyszłość była ostrożniejsza.

Gdy dojechali na farmę, do domku, gdzie Claudius się urodził, wystarczająco dużego na potrzeby matki, ojca i jego, zaprowadził dziewczynę na górę do pokoju, w którym zwykle raz do roku zatrzymywali się podróżni kaznodzieje, poszukujący w Beattyville odnowy duchowej. Violet Borne była bardzo gościnna, co oznaczało dobre jedzenie i ciche, spokojny pokój z pościelą pachnącą jak powiew ze wzgórz Kentucky lub jak lawenda, jeśli Violet poszła o milę dalej.

Natomiast ojczym Claudiusa, Garland Borne, posiadał dar gładkiej mowy i Claudius, często siedząc i słuchając, jak opowiada Violet czy wędrownym kaznodziejom kawały, porównywał jasnobrażowy kolor swojej skóry do jego bladej, irlandzkiej karnacji i zawsze od nowa pojmował, że nie był dzieckiem tego człowieka. Błogosławieństwem było, że często o tym zapominał. Ojczym był dobrym człowiekiem, potrafił patrzeć w oczy i słuchać każdego słowa, a także poprawić samopoczucie drobnym żartem i szklanką przesłodzonej herbaty.

Musiał sporo poświęcić, by poślubić Violet, która nigdy nikomu nie zdradziła, nawet Claudiusowi, jak doszło do tego, że została matką. Claudius był jej biologicznym dzieckiem; mieli taką samą budowę twarzy, choć kolor ich skóry nieco się różnił. Jego skóra miała kolor łupiny włoskiego orzecha, a jej – samego orzecha.

Claudius najpierw odrzucił zieloną narzutę i poszwe w kolorze mięty, potem położył dziewczynę na materacu (już sama pomoc przy wchodzeniu na schody była dla niego wyzwaniem większym niż kilka lat temu. Chciał, by Bóg zlitował się nad jego plecami. Co prawda jeszcze nie dawały mu się tak bardzo we znaki, no chyba że rąbał drewno lub dźwigał ciężkie bale, ale wiedział, że to długo nie potrwa).

Podciągnął kołdrę pod brodę dziewczyny, myśląc, jak bardzo wydawała się bezbronna, jakby była małą dziewczyn-

ką, która włożyła wyjściową sukienkę swej starszej siostry, a starsze siostry często przesadzają z doborem tego rodzaju sukienek. Jej matka chyba by umarła, gdyby zobaczyła swoje dziecko, które, odkąd dziewczynka skończyła dziesięć lat, ze zmiennym szczęściem próbowała właściwie ukierunkować, i gdyby zdała sobie sprawę, że mimo jej wysiłków chłopcy i tak z jakiegoś powodu lubią jej córkę. Oczywiście ona sama już wiedziała dlaczego w wieku lat dwunastu.

– Po prostu utrzymajcie je przy życiu, aż nie skończą dwudziestego szóstego roku życia – wyszeptał.

Ojciec Claudiusa był diakonem i dzielił się swoją nieco skostniałą mądrością z innymi rodzicami, którzy siadając z nim przy stole, pragnęli, dzięki jego radom, poskromić swoje krnąbrne pociechy. Claudius żałował, że ktoś nie użył nieco tej mądrości rodzicom dziewczyny.

Jej rodzice. Tracił ją w ramię.

– Chcesz, żebym skontaktował się z twoimi rodzicami?

Zaprzeczyła ruchem głowy i wymamrotała:

– Mieszkam sama.

– No dobrze, zaraz wrócę.

Zszedł na dół przygotować miksturę, jaką matka parę razy przygotowała dla niego. Kilka minut później znów wchodził po schodach, pomógł dziewczynie unieść głowę znad poduszki, opierając ją na swym ramieniu, by mogła wypić napój. Z podniesionymi brwiami i grymasem niesmaku na twarzy trochę protestowała, ale Claudius był cierpliwy i wiedział, że imbir ma właściwości przeciwwymiotne. Potem pomógł jej się położyć i czystą serwetką wytarł brodę.

Dziewczyna wyplątała rękę spod przykrycia i położyła na kołdrze.

Dziwne, Claudius nie widział jeszcze nikogo o takiej tonacji skóry. Wyglądała jakoś marchewkowo. No, niezupełnie. Ale prawie. Zastanawiał się, czy nie jest chora, miał nadzieję

że nie. Dzisiejsze życie i tak jest dość ciężkie dla młodych ludzi. Gdy on był młody, życie było dużo łatwiejsze.

Posiedział na krześle, dopóki nie usłyszał jej równego oddechu. By łatwiej mu było wstać, wsparł ręce na udach.

Torebka. Mogła się o nią martwić po przebudzeniu. Pobiegł na dół do kuchni, przyniósł na górę torebkę i tak ją powiesił na krześle, by zaraz po obudzeniu mogła ją zobaczyć.

Czekały na niego codzienne zajęcia. Na farmie zawsze można liczyć na to, że jest coś do zrobienia. Zasunął zasłony w kwadratowym okienku, które znajdowało się tuż pod okapem dachu, i zszedł cichutko po wąskich stopniach, a potem wyszedł na zewnątrz wprost na majowe słońce. Przed nim rozciągała się farma: żółte, wypłowiałe zabudowania na tle elektryzującej zieleni świeżej trawy. Trochę jej skosi, gdy już skończy oporządzać zwierzęta. Albo lepiej nie, bo to mogłoby ją obudzić. Nie byłoby dobrze przerywać sen komuś tak choremu, póki sam się nie obudzi.

O siódmej wieczorem, mniej więcej po dziesięciu i pół godzinie, co było wystarczającym czasem na pozbycie się kaca, Claudius wsunął głowę przez szparę w drzwiach.

– Obudziłaś się już? – zapytał szeptem.

Poruszyła się na łóżku – kołdra podciągnięta pod brodę, obie ręce na kołdrze.

– Tak, nie wiem, co się stało.

– Niewielu ludzi wie, nawet na trzeźwo – zaśmiał się nieśmiało, zdając sobie jednocześnie sprawę, że zabrzmiało to trochę nerwowo. Nie lubił tego u siebie. Od zawsze. W chwili gdy tylko znalazł się w jednym pokoju z ładną dziewczyną, zachowywał się niezbyt poważnie.

– Gdzie jestem?

Claudius wyjaśnił jej, wnosząc do pokoju tacę. Rękawy jego bawełnianej koszuli w zielono-niebieską kratę od łokci

LISA SAMSON – nagradzana autorka dwudziestu sześciu książek w tym *Quaker Summer*, którą „Christianity Today” uznał za Powieść Roku 2008 i *Justice in the Burbs*, którą napisała wspólnie z mężem Willem, profesorem socjologii. Jeśli nie przebywa w swoim domu w Kentucky z trójką dzieci, kotem i sześcioma kurami, jeździ po kraju z pogadankami na temat pisarstwa i sprawiedliwości społecznej, zachęcając ludzi wierzących do tego, by „postępować sprawiedliwie, przebaczać i podążać w pokorze za Panem”. Niczego nie lubi bardziej, niż siedzenia przy kuchennym stole i gawędzenia z rodziną oraz starymi i nowymi przyjaciółmi.